

„Grzegorz Dandin” Moliera

na scenie Państwowego Teatru Ziemi Opolskiej

OPOLE. Z punktu widzenia hierarchii potrzeb kulturalno-wychowawczych szerszych mas naszego społeczeństwa, pomysł wystawienia „Grzegorza Dandina”, spolszczonego przez Boya na „Dyndałę”, nie wydaje się nam pomysłem, któremu można bez zastrzeżeń przyklasnąć. Jeżeli bowiem teatr chciał nam pokazać Moliera jako pisarza postępowego w całej jego okazałości — Moliera, walczącego bez paragonu na noże ciętej satyry z moźnymi owej epoki, to wybór sztuki nie jest fortunny, ponieważ należy ona do najslabszych pod tym względem utworów tego genialnego komediopisarza. Jednak i w tej komedii pazurek molierowskiego talentu zadaje współczesnym dotkli zadrasnięcia.

Zobaczyliśmy na scenie bogatego chłopca, który przez snobizm kupił sobie żonę ze szlacheckiego zrujnowanego domu, wbrew jej woli. Skłonna do zdrady niewiasta usiłuje przyprowadzić mu rogi i robi to tak sprytnie, że biedak, mimo kilkakrotnego przyłapania jej na granicy tak zwanego „gorącego uczynku”, nie może udowodnić jej winy wobec niemniej przewrotnych jej rodziców, kryjących obtudę pod

maską szlachectwa. Każda taka próba zdemaskowania żony kończy się dla Grzegorza jeszcze większym upokorzeniem. Molier szydzi w tej sztuce z ówczesnej szlachty, a jeszcze bardziej z tych, którzy wspinali się do niej. Żadna z działających na scenie postaci, nie licząc epizodycznie występującego pachotka Dyndały, Piotrusia, nie jest dla nas sympatyczna: ani para arystokratycznych dudków — baronostwa de Sautenville, ani ich kuta na cztery nogi córeczka Aniela, ani arystokratyczny pustogłów i bawidamek, wicehrabia Klitander, ani pokojówka Aniela, Klaudyna, ani pochwalający jej niezbyt chwalebny spryt parobczak Lubin — ani też wreszcie główny bohater sztuki Grzegorz, „pan na Dyndałach”.

Nie dysponując oryginalnym tekstem, nie możemy twierdzić, czy zgodnie, z jego treścią, reżyserka Krystyna Berwińska zrobiła z Dyndały francuskiego „kułaka”, a nie bogatego mieszczanina, który, parodiując styl życia szlachty, nabył sobie dworek na wsi.

Trzeba wreszcie pamiętać i o tym, że Molier snuł swoje sztuki na kanwie wydarzeń typowych, zaczerpniętych pełną garścią z otaczającego go życia społecznego. Wiemy zaś z historii, że typowe było wówczas dążenie rosnącej na siłach burżuazji mieszczańskiej do zrównania się ze szlachtą, bogatsi zaś

chłopi mogli co najwyżej marzyć i tylko marzyć o dorównaniu mieszczaństwu w jego pierwszej fazie rozwoju.

Czy realizm sztuki ucierpiał na tym, że pokazano nam Dyndałę jako chłopca, a nie mieszczanina? Na to pytanie musimy odpowiedzieć twierdząco, bo „gdyby „pognębiony mąż” był mieszczaninem, to może uwierzylibyśmy, że tak było w istocie. Ponieważ jednak jest on chłopem, to wiać przyjmuje sztukę jak bajkę o Kopciuszku, a jego myśl ześrodkowuje się raczej na zagadnieniu przewrotności ówczesnych kobiet w ogóle, bo i pokojówka Aniela, nie będąca przecież szlachcianką, była też dobrym sobie numerkiem.

Potulny i ośmieszony Dyndała stał się dla widza przede wszystkim ofiarą własnej głupoty i przewrotności kobiecej, a nie ustroju społecznego. Po co się pchał, gdzie nie trzeba!... Widz przychodzi do przekonania, że największą bodajże tragedią Dyndały było to, że „w równym stanie wolno przynajmniej mężowi się wyburzyć, gdy honor jego szwankuje — i przy pomocy łęgiego kija znaleźć sobie sprawiedliwość” — szlachectwo zaś żony „trzyma (jego) ręce i głębę na wwięzi...”

W ramach reżyserskiej koncepcji, gra całego zespołu zasługuje na całkowite uznanie. Zdzisław Kluczyński w roli Dyndały jest znakomity, zwłaszcza w III akcie, gdy pognębiony mąż odnosi chwilowy triumf nad niewierną żoną i cieszy się z

okazji, że nareszcie będzie mógł „pokazać światu swoją „hańbę”. Maria Ursynówna wyszła zwycięsko jako Aniela nie tylko dlatego, że tak chciał Molier, lecz i dzięki umiejętnemu lawirowaniu pomiędzy komedią a farsą i uniknięciu przesady, tak łatwej w tej roli. Niemniej dobrze wypadła postać pokojówki: Klaudyny w kreacji Alicji Kleyn — Michałowskiej — jakby żywocem przeniesiona na scenę z powieści: Dumasa. Tadeusz Zyliński w roli wicehrabiego Klitandera przewyższał pańskimi manierami i swobodą ruchów barona de Sautenville Karolowi Rogalskiemu baronostwo wychodziło jako zbyt anemicznie. Leokadia Jurdzińska, jako baronowa de Sautenville, zagrała poprawnie. Parobek Lubin w wykonaniu Henryka Lipartowskiego nie wyglądał na biednego chłopaka, który za cały dzień pracy zarabia 10 sous, ale czuł się na scenie swobodnie i grał dobrze. Epizodyczną rolę Piotrusia odtworzyła Teresa Kwaśniewska.

Dekoracja we wszystkich aktach wg projektu Salomei Gawrońskiej, przedstawiająca fragment stylowego dworku szlacheckiego, okolonęgo sztachetami, na tle pięknego wiejskiego pejzażu, sprawiała bardzo miłe wrażenie i budziła w niejednym sercu czasosowe wspomnienia. Wspaniałe kostiumy dodały sporo blasku tej zabawnej sztuce, którą radzimy wszystkim oglądnać, nie bacząc na sporną kwestię, czy Dyndała był chłopem, czy mieszczaninem.

STEFAN CHMIELNICKI

DZIENNIK ZACHODNI

ŚRODA

12 marca 1952 r.